

Teksty Drugie 1991, 1-2 , s. 169-176



CENTRUM
HUMANISTYKI
CYFROWEJ

Polskie piekielko

Aleksander Fiut

Aleksander Fiut

Polskie piekielko

Literatura piękna nader często i z pewnym dość dwuznacznym upodobaniem zstępowała w piekielne czeluści dwudziestego wieku. Były to na ogół obozy koncentracyjne, łagry Gułagu, pola krwawych bitew czy powolna agonia milionowego miasta. Z tych wypraw pozostawały zapisy wstrząsające, czasem wybitne. Tadeusz Nowakowski dowodzi, że piekielko może wyglądać całkiem inaczej, dość, na pozór, niewinnie; małe, dobrze urządzone, ale nie mniej dotkliwe. Wystarczy, po prostu, grupę Polaków odizolować, zapewnić im znośną egzystencję i skazać na samych siebie.

Obóz Wszystkich Świętych znajduje się, jak łatwo zauważyć, jakby na skrzyżowaniu zasadniczych tematów i problemów, które od lat nurtują współczesną polską prozę. Niektóre z nich zapowiada, inne, modyfikując, interesująco kontynuuje i przekształca. Obok opowieści o losach dipisów — która, oczywiście, kojarzy się przede wszystkim z *Kamiennym światem* — temat „Polak wobec obcych” przywodzi na myśl *Jeziorko Bodeńskie*, *Monię Clavier* i *Trans-Atlantyk*, szukanie tożsamości w utraconym na zawsze kraju lat dziecińczych skłania do kreślenia paralel z *Doliną Issy* czy *Dziurą w niebie*. Gdy dodać rozliczenia z dwudziestoleciami i trafne uchwycenie atmosfery pierwszych dni września 1939, uznać wypada, że to niemało jak na jedną powieść.

Zwłaszcza że w repertuarze gotowych ujęć Nowakowski dokonuje znaczącego przesunięcia, dorzuca nowe elementy, zmienia rozłożenie akcentów. Wszechstronniej i głębiej niż Borowski, chwalebnie unikając schematyzmu, przedstawia sytuację byłych więźniów obozów hitlerowskich w obozach przesiedleńców w Niemczech. Na zdominowanej przez obrazy kresów wschodnich, imaginowanej mapie Rzeczypospolitej umieszcza region i miasto dotychczas nieobecne: przedwojenną Bydgoszcz, której koloryt lokalny, obyczaj, język i krajobraz odtwarza z pieczołowitą wiernością. Obrachunki inteligenckie prowadzi bezwzględniej niż Dygat czy Brandys, dzieciństwa zaś nie idealizuje. Wkracza nadto na teren mało spenetrowany lub zdany na łaskę schematów i jaskrawych uproszczeń, podejmując problem stosunków polsko-niemieckich (co rozwinie w innych utworach).

Obozowi Wszystkich Świętych niejedno, rzecz prosta, można zarzucić. Amator prozy awangardowej będzie kręcił nosem na jego zbytni tradycjonalizm, przejawiający się choćby w chronologicznym przedstawianiu wydarzeń, układzie przyczynowo-skutkowym i pewnej schematyczności postaci. Uzna pewnie za mało umotywowany i chybiony pomysł prezentowania wspomnień głównego bohatera, które notabene wypełniają całą niemal powieść, w formie zwartej narracji, bardziej adresowanej wprost do czytelnika niż, nawet w przybliżeniu, próbującej odtworzyć swobodny bieg skojarzeń. Bliżej stąd do Prusa niż do Prousta. Niemniej *Obóz* pozostaje jednym z najbardziej surowych, a przez to właśnie zmuszającym do namysłu, studiów psychosocjologicznych pewnych skrzywień w polskiej mentalności.

Dnem piekła jest pierwszy dzień wolności. Wypełniają go sceny zbiorowego, brutalnego gwałtu na nieletniej, pijaństwa, wybuchów ślepej nienawiści i aktów samosądu. W opisach podróży do granic człowieczeństwa Nowakowski nie ustępuje Borowskiemu:

Ochłapy ludzkie z izby chorych, które z trudem posuwały się wzdłuż ścian. Rozdęte i nadgniłe od puchliny wodnej kadłuby i kikuty „muzułmanów” i maruderów. Z grymasem bólu stawiali nogi. Krzyczeli już z daleka. Wreszcie dopadali do trupiej miazgi, bijąc w nią resztkami uchodzących sił. Pluli, charczeli, wczółgiwali się w kałużę krwi z mózgu. Darli i gryźli resztki znieawidzonego munduru...

Nie dziwi zatem, że wojska alianckie zmuszone były dopiero co uwolnionych więźniów zamknąć w miejscu odosobnienia i poddać reedukacji. Wszelako położony na bagnistych terenach niedaleko

granicy holendersko-niemieckiej polski obóz w Papenburgu skuteczniej od drutów i wartowników izoluje chorobliwa ksenofobia. Nienawiść do Niemców i przeświadczenie o ich zbiorowej odpowiedzialności z jednej strony rozgrzeszają z wszelkich dokonywanych na nich przestępstw, z drugiej — piętnują jakiegokolwiek bliższe z nimi związki, co przybiera nieraz formy wręcz groteskowe: przesiedleńcy woleliby raczej spłonąć niż wpuścić na teren obozu niemiecką straż ogniową. Drugim niewidocznym, acz równie szczelnym murem okazują się stosunki z Anglosasami. Wyzwoliciele najwyraźniej nie oczekują wdzięczności, a zamiast o „Sprawie Polskiej” wolą rozprawiać o nowych modelach samochodów. Zarządzający obozem Amerykanin, „mormon” z Salt Lake City, zupełnie nie rozumie polskich problemów, gestami pozornej życzliwości pokrywa niechęć i pogardę do „f... Poles”. Jego rodacy zwiedzają obóz z obojętną ciekawością turystów, jak wioskę Zulusów. Sama zaś obozowa społeczność bytuje pomiędzy majakami i zmorami niedawnej wojennej przeszłości a marzeniem o rajy czyli wyjeździe do Ameryki, który zresztą odsuwa się w nieokreśloną przyszłość. Szybko też przystosowuje się do nowych warunków, przyzwyczajają i wytwarza własną hierarchię. Na jej szczycie znajduje się major, który trzyma obóz twardą ręką, dobrze w nim zadomowiony i czerpiący ze swej uprzywilejowanej pozycji nie zawsze legalne korzyści. „Terapii psychicznej” szuka w ruinach Hamburga. „Nienawidząc Niemców, toleruje Niemki. Zwłaszcza młode.” Jego najbliższe otoczenie, jakby dwór, stanowią: redaktor obozowej gazetki, zatytułowanej oczywiście „Razem”, „mistrz banału” z ustami pełnymi frazesów, bibliotekarka, złośliwa i cyniczna ale, w razie potrzeby, przedzierzgająca się w Matkę-Polkę, „chorobliwy mitoman”, dyrygent miejscowego chóru oraz — charakteryzowany z pewną sympatią — ksiądz, dbający o duchowe potrzeby swych owieczek. Obóz ma, a jakże, własną inteligencję, zwaną ironicznie „Izbą Lordów”, która swoje dość jałowe debaty odbywa, wstyd powiedzieć, w latrynie, oraz doły społeczne, tzw. „ludek” papenburski, który wegetuje z dnia na dzień, kradnąc i nielegalnie handlując.

Powie ktoś, że podobnie, być może, zachowywałyby się każda grupa narodowa, pozostająca w analogicznych warunkach. Tak, gdyby nie to, że nad wszystkim — niby opar z pobliskich bagien — unosi się aura stężonej „polskości”, co sprawia, że obóz bytuje w doskonałej, bo nie uświadamianej, schizofrenii. Na powierzchni odbywają się obrzędy religijne i patriotyczne, obchody ku czci kolejnych powstań i zrywów

wolnościowych, sentymentalny kult narodowych symboli; a pod spodem trwa tzw. życie:

krwawe zamieszki z policją niemiecką i żandarmerią brytyjską, nocne obławy wojsk okupacyjnych na czarnorynkowców, demonstracyjne głodówki przeciwko niektórym zarządzeniom Unrry, walki wręcz z misją repatriacyjną czy też ideowo-bandyckie najazdy patriotycznych rzezimieszków na bauera.

Czym innym poglądy głoszone, czym innym praktykowane. To właśnie podczas wieczoru poezji religijnej dochodzi do moralnego samosądu nad kobietą, która z głodu, za kromkę chleba, oddała się Niemcowi. Swoiście pojęty patriotyzm stanowi kamuflaż dla własnych interesów (nawet martyrologia może być kartą przetargową w walce o — marne — przywileje: „każdy dzień za drutami liczył się w tej patriotycznej buchalterii”), staje się instrumentem manipulowania opinią publiczną, narzędziem nacisku czy wręcz moralnego szantażu, uzasadnieniem odruchowej niechęci do obcych i formą samoobrony we wrogim otoczeniu. Zagarnia język, który żywi się dętym frazesem i patetycznym banałem.

W tym świecie właściwie wszystko — od stosunku do własnej historii do smaku zupy w obozowym kotle — zyskuje sens li tylko w odniesieniu do uczuć narodowych. Kto bowiem sarka na złą kuchnię i głodowe racje — jak poucza major krnąbrnych podopiecznych — tworzy „nowy typ Polaka, nieczulego na wartości duchowe, pozbawionego wyobraźni historycznej”. Mit munduru żołnierza polskiego nie pozwala odslonić nadużyć tegoż majora, fałszywa duma skłania raczej do „pudrowania obozowej nędzy” niż przyznania się do prymitywnych warunków życia i cywilizacyjnego zacofania: dipisi wołą wylegiwać się na pryczach, pić bimber i grać w karty niż np. uczyć się angielskiego, przygotowując się do wyjazdu. Powstaje świat pozorów, bardziej lub mniej świadomie akceptowany przez zbiorowość, fikcji, która dominuje nad rzeczywistością uniemożliwiając trzeźwą ocenę faktów i fałszując moralny sens zachowań.

Rozdęty ponad miarę „patriotyzm” stanowi alibi dla społecznej apatii, skrywa pretensję do świata i zawód płynący ze zdrady aliantów. Jest poza tym zastępczym i kruchym spoiwem zbiorowości wykorzenionej, pozbawionej naturalnych więzów, zdemoralizowanej przez wojnę. Uderza to szczególnie w scenach zbiorowych, świetnie podpatrzonych i kreślonych z groteskowym zacięciem — akcji „Pietruszka”, wizyty

w obozie dziennikarzy amerykańskich, imiennin u polskich oficerów — gdzie autentyczną więź zastępują odruchy nieufności, chęć przypodobania się lub wylewy płaczliwego sentymentu.

W najgłębszej swej istocie hipertrofia uczuć narodowych służy stworzeniu — na użytek własny i cudzy — pochlebionego wizerunku narodu. Dowiedzenia wszystkim, że „Polacy, tacy sami Europejczycy jak inni, jeśli nie lepsi...”. Wiele z tego, co autor lojalnie przyznaje, złożyć by można na karb urazów wojennych i nienormalnego położenia, co sprzyja społecznej patologii. Ale są w tym obrazie żółcią malowanym rysy przygnębiająco znajome i „wieczne”.

Przewodnikiem przez kolejne kręgi samoiluzji i złej wiary, niemożności i oportunistów uczynił Nowakowski podporucznika Stefana Grzegorzczaka. To głównie w jego ironicznym spojrzeniu załamuje się otaczająca rzeczywistość, w jego wspomnieniach powraca czas dawny. Jego, „powstańca, kacetowca, jeńca, syna sokoła”, małżeństwo z Niemką, notabene córką kochanki ojca, stanowi fabularną osnowę powieści oraz katalizator postaw współrodaków. Grzegorzczak, w czym nie mały udział mają jego przeżycia wojenne, przeciwstawia abstrakcjom — konkret, patriotycznym obowiązkom — przywiązanie do życia, związkom społecznym — prawo do prywatności. W polskim obyczaju tropi skłonności martyrologiczne, „snobizm umierania”, „estetykę patriotycznego grabarza”. Szczególną odpowiedzialnością za nie obciąża międzywojenną szkołę — „pierwszy stopień wtajemniczenia w mroki narodowego masochizmu” i literaturę, zwłaszcza romantyczną, która sprawia, że to „naród karmiony zatrutą poezją, chory na *elefantiasis* patriotyzmu”. Rodacy budzą w nim, na przemian, płynące ze wspólnoty przeżyć współczucie — ogarnia go „radość pochodzenia z tej samej ziemi i mówienia tym samym językiem”, to znów niechęć, odrazę do przejawów zbiorowej nienawiści oraz patriotycznego terroru. Grzegorzczak nie chce wracać do Polski nie z przyczyn politycznych, lecz w obawie, że to „taki sam Papenburg jak tutaj, jeno na większą skalę”. Łamie w końcu największe tabu, żeni się z Niemką, skazując się na powszechne potępienie współrodaków i wygnanie z obozu. Ale jego miłość, która wydaje się bardziej grą wyobraźni i kompensacyjnym gestem wobec upokorzeń młodości niż prawdziwym uczuciem, wpada w pułapkę tym razem niemieckiego nacjonalizmu. Staje się ofiarą szykan otoczenia żony, za jej związek z Polakiem, oraz nowej lojalności, każącej np. witać hitlerowskiego generała jako bohatera narodowego.

Próbę wyrwania się z narodowego piekła Grzegorzcyk przegrywa. Godzi się na skrajne samoponizowanie i upokorzenie, byle wrócić do swoich. Od iluzorycznego ciepła domowego woli swoją pryczę w baraku i tępe wpatrywanie się w sufit. Mimo samoświadomości, która nie ocala, okazał się do rodaków podobny: pełen urazów wobec cudzoziemców, kierujący się odruchami patriotycznego sentymentu (pobił Niemca, by odebrać mu polski krzyż harcerek), zapatrzony w przeszłość własną i swojego kraju. Pozostał z podstawowym pytaniem bez odpowiedzi: „Można być bez ojczyzny, ale czy można przestać być Polakiem?”. Na ile autor identyfikuje się z protagonistą powieści? Owszem, ironiczny dystans bohatera do otaczającego go świata znajduje swój odpowiednik w autoironicznych komentarzach Grzegorzcyka oraz w zdystansowaniu się Nowakowskiego do „kieszonkowego, papenburskiego Hamleta”. Z drugiej przecież strony, autor nie przypadkiem posługuje się mową pozornie zależną, a w sposobie patrzenia na cudzoziemców czy przywiązywaniu do przeszłości (w końcu powieść wypełniają w dużym stopniu wspomnienia rodzinnej Bydgoszczy) upodabnia się do swej postaci. Ponadto powieść zamyka podwójnie tragiczne zakończenie — wzmocniona oznaka bezwyjściowości. Duchowemu samobójstwu Grzegorzcyka odpowiada rzeczywista śmierć chłopca, bezimiennego znajdującego z płonącego Drezna, który za namową szaleńca powtarzającego, że „Belzebub ściska mu głowę”, skacze z wysokiego piętra w przekonaniu, że uleci. Pragnienie pełnej wolności płynęłoby zatem z diabelskiego podszeptu? Musi przynieść upadek? Gdzie zatem wyjście z polskiego piekielka?

Tropiąc patriotyczną patologię, jej źródła i przejawy, Nowakowski nie podsunął rozwiązań, ale uwyraźnił i zaostrzył podstawowe dylematy: jak pozostać jednostką suwerenną, nie skazując się na ostracyzm, a zarazem nie popadając w konflikt ze swoim społeczeństwem? Jak być Polakiem pozostając po prostu człowiekiem? W jaki sposób zachować wierność historycznej przeszłości, nie ulegając jej mitologicznym i mistyfikacyjnym skłonnościom? Zauważył kiedyś Witold Wirpsza w *Polaku, kim jesteś?*, że mity, które pętają polską świadomość historyczną, „polegają na pewnych niebezpiecznych przesunięciach akcentów” sprawiających, że odrębność staje się wyjątkowością, złe położenie geograficzne synonimem spisku niesprawiedliwych przeciw sprawiedliwemu, zadanie do wykonania w obrębie formacji kulturowej — posłannictwem. Tak i tutaj: przynależność narodowa jest źródłem życiodajnej

siły, ale może stać się formą dotkliwego zniewolenia. Pamięć przechowuje ciągłość tradycji, utrwała zbiorową tożsamość, ale bywa też grą pozorów, która paraliżuje aktywność i odwraca od bieżących obowiązków. Literatura buduje samoświadomość kulturową, lecz czasem utrwała negatywne lub anachroniczne wzory zachowań. Staje się tak wówczas, gdy zbiorowość — społeczeństwo, naród — wskutek historycznych okoliczności uzurpuje sobie nadmierne prawa wobec jednostki. Ta zaś, broniąc swojej suwerenności, nie potrafi dla niej znaleźć właściwej formuły. Przywiązanie do życia i ucieczka w prywatność, w zacisze domowego ogniska nie wystarczają, jak przekonuje historia Grzegorzcyka. Człowieczeństwo — zdaje się sugerować Nowakowski — jest powinnością, ciągle ponawianym wysiłkiem samorealizacji i szacunkiem dla cudzej godności i odrębności. Liczą się małe gesty serdeczności i delikatność uczuć, jak wtedy, gdy Grzegorzcyk stanął w obronie potępionej kobiety.

Można, oczywiście, wzorem Gombrowicza, Miłosza, Kota Jeleńskiego, wszystkie te dylematy uchylić i określać swój stosunek do przynależności narodowej w zupełnie innym wymiarze. Na to się Nowakowski nie zdobywa. W zamian natomiast podsuwa model idealny. W przywoływanych pamięcią obrazach przedwojennej Bydgoszczy zawiera się najwyraźniej inne pojmowanie patriotyzmu — patriotyzm lokalny, który unieważnia dzielące różnice. W tym małym pruskim mieście — przeciwieństwo niż w dużym, stąd idiosynkrazja Nowakowskiego do Warszawy — wszyscy się znają, wszystko o sobie wiedzą. Katolicy zgodnie współżyją z protestantami, obyczaj polski przeplata harmonijnie z niemieckim, nawet język, silnie nasycony germanizmami, nie przeszkadza w identyfikacji z polską kulturą. Trwa ona w przekazywanej z pokolenia na pokolenie tradycji domowej, zapisuje się w murach miasta śladami jego dawnej chwały. To z pewnością słaby odblask dziedzictwa Rzeczypospolitej, jej ideałów wolności, pełnej tolerancji oraz szacunku dla ludzkiej godności. Taki sens ma w powieści scena apoteozy Piłsudskiego, odwiedzającego Bydgoszcz.

Zatem raz jeszcze kresy, tym razem — co nowość — północne, miałyby być wzorem dobrze pojętego patriotyzmu? Jakąś miejską odmianą szlacheckiej swojskości? Pograniczność kultur, zdaje się sugerować Nowakowski, sprzyja w normalnych warunkach neutralizowaniu złowrogich skłonności, utajonych w nawykach i podświadomości. Trzeba pamiętać, że ten raj powszechnej zgody unicestwił dopiero gwałtowny

wybuch szowinizmu. Ale naprawdę wojna tylko umocniła i uwidoczniła stale obecne, wywołane przez rozbiory i uwzniośnione przez romantyczną literaturę, patologiczne skłonności polskiej samoidentyfikacji narodowej. Demony braku poszanowania dla odmienności, tępego szowinizmu i samodurstwa jedynie drzemią pod powierzchnią, gotowe w sprzyjających okolicznościach na nowo się obudzić. O czym warto może przypomnieć przy okazji celebrowania narodowego samouwielbienia.

Numer 1 biblioteki tekstów

Janusz Sławiński

Teksty i teksty

Teksty i teksty czytać można w takiej perspektywie, którą z jednej strony wyznacza dzieło Białoszewskiego, z drugiej zaś — dziennik Gombrowicza.

Z ducha Białoszewskiego bierze się niezwykła inwencja językowa Sławińskiego, szczególnie widoczna w niektórych wymyślanych *ad hoc* terminach i kategoriach, a także: skupianie się na „dookolnym środowiskowym gadaniu” (chodzi, rzecz jasna, o środowisko teoretyków literatury...), zmieniająca kolejne eseje w szczególnie pojmovany dziennik intelektualnych „zaciekawień”, „pomyśleń” i „fascynacji” — własnych i cudzych. Z ducha Gombrowicza natomiast wywodzi się demon dystansu i ironii, dyktujący ostre, nie stroniące od złośliwości i przerysowań, analizy problemów i portrety ludzi...

Marian Stala, „Tygodnik Powszechny”

Zamówienia prosimy składać na załączonym na końcu numeru
blankiecie — przeznaczonym do opłacenia subskrypcji

biblioteki tekstów

<http://rcin.org.pl>